

Edward Pasewicz

Wiersze

Zwrot beta

Głównie krew i inne wydzieliny,
zasnuwają poranki i krztuszą się
nawet budynki, gdzie mieszkamy;
i nie dają zjeść jajecznicy z boczkiem;
bo się trzęsie i z ust wypadają kruszyny;
i rosną w następne wątpliwe sytuacje.
No i nagle, lepimy się jak z plasteliny,
co młodszy starszych, staruchy – śmierć,
kobiety kochanków, a oni swoich
niebieskookich, z grzywką w lewo
nażelowanych ultra plus non,
w rurkach i niciach, och biało tak, tak.
A potem to szycie, to szycie ze szmat
i jeszcze raz (gromko)
to szycie, to szycie ze szmat.

Krystaliny

Za cme, za cień, za ruch
wokół ganku, gdzie tylko
słuch się krząta i stabilizuje,
wrażenia, by potem mi mówić,
pachniało psem i ludzkim
genomem; pije wodę,
bo nic innego, nie wypada wobec;
tych prostych znaków:
zatluc motyla i ścisnąć pięści
zanim ktoś się obudzi
i mnie odstąpi własną ślepotę.

Później już tylko akomodujemy, bliża i dała,
bliża i dała,
jak w kiczowatej piosence.

Mydło

Jakoś tak zawsze jesteśmy
po tej samej stronie frontu.
Ideę mamy w dupie jak to to zwykle,
ale już most jest ważną sprawą.
Wielkie kłamstwa są wujostwem
mniejszych, a te są jeszcze mniej
istotne i tworzą trupy – to oczywiste.
Później, chciałbym się umyć,
nie dlatego, że złym jestem obywatelem,
tylko i dla zwykłości:
mydłem stopy, mydłem łydki,
mydłem twarz i uszy.
Taka modlitwa.
Niezobowiązująca.

Dziady

Jestem króliczkiem w tej klasie,
pamięć jest w ogniu albo mgle,
a jednak węższą fałsz w tych śmierciach,
bo rodziców mam z tysiąc albo dwa.
I tak chodzę od domu do domu,
ubrany albo i nie.
Zależy od dnia, zależy od dnia.

Wyśnieni chłopcy od domu do domu
sień nawiedzają i nawet ja
się śnić im mogą w szmerze warg.

Koniec końców brzmi kac ,
śmiertelność leje się z ust.

Zależy od dnia, zależy od dnia.

Jadalnia

Ślady po przedmiotach ponętne i czułe.
Pusta doniczka nadtłuczona i wyblakła.
Czas się zmieniać kwiatuszku.
Poszewka poduszki już kwitnie.
Plamki pleśni, grzyby, płyny ustrojowe.
Monarchia w tym pokoju upadła.
Finezyjne są obierzyny jabłek,

nie mają w sobie nic gwałtownego,
choć są tak spiralne. Stopy, co poruszają
się w tempie allegretto, wzniesają tylko kurz.
Tu się urodzi nieuwaga, wiem,
przyjdzie i pocałuje, zniknie i wróci,
jadalna osobność w domu bez właścicieli.

Mostowa Kraków jakoś trzynasta czterdzieści pięć

Toksyny z ubrań,
toksyny z rozmów,
kategoryczne stwierdzenia,
z których się nie oczyścisz.
A twoje wątpliwości
są kruche i kłamliwe,
a twoje wątpliwości sprawiają,
że serce ci nieregularnie bije,
że źle się odczytuje
nasze pewne siebie DNA.
Co chwila tu trafiam
na nie mających wątpliwości,
pewnie mają zdrowe aorty,
kubki smakowe głębokie
jak Rów Mariański
i mocną, nie zdobytą
twierdzę kości czaszki.
W ich ustach, jak się okazuje,
wszystko jest brakiem
wątpienia.
Wychodzę z tej lustrzanej sali,
na Mostowej jak zwykle zgiełk,
słońce niechętnie oprósza światłem,
zdezorientowanych turystów
z mapami.

Zatarcie

Urodziłem trójkę dzieci, taki kobiecy sen, nie męski,
choć byłem mężczyzną wyraźnie w tym śnie.

To byli trzej chłopcy, o czarnych brwiach
i oczach, piękni, ale niepodobni do mnie.

Było coś wspólnego we mnie i w nich,
ale wyrazić tego po prostu nie sposób.

Ten sen po rozmowie z tobą pewnie znaczy.
Lecz nie potrafię go przełożyć.

Przegadać by go trzeba, a ja nie mam czasu.
Trzy ciała Buddy albo i trzy czasy.

Chłopięce znaczenia są zatarte lub zaszyfrowane.
Nie odgadłem na czas symptomów choroby.

Nasza mała społeczność

A to tak we śnie było, choć trochę na jawie,
pięć morderstw w naszej społeczności
i to ja zabiłem, ale nie ma ciała, nie ma ciała
i nawet sobie nie mogę udowodnić.
W naszej małej społeczności jawność jest najważniejsza,
ale senność też przynosi korzyści, trochę
mogę być tobą, ale nie we wszystkim.
Pięć ciał (których nie odnaleziono),
pięć nieznanymi gatunków, które odstrzeliłem
(chyba dla dobrej nauki), ale żadnego dowodu
na popełnione zbrodnie. I twarze sędziów,
którzy mnie odpychają, bo żadnych dowodów,
żadnego oskarżenia.